

ogóle posiadam), jak staromodny oblubieniec do ślubu. Niecierpliwie wyczekiwałem w oknie wagonu, aż ukażą się podmiejskie lasy, a potem z falistej zieleności wyskoczą jedna za drugą tak bliskie sercu (o ile je posiadam) wieże św. Jura, św. Elżbiety, Ratuszowa, Katedralna, Korniaktowska, Bernardyńska. I kupiła Dominikańców i kupiła Teatru Miejskiego i Kopiec Unii Lubelskiej i Łysa Piaskowa Góra. (W latach okupacji niemieckiej piaski tej góry wchłonięły krew tysięcy męczenników). Rzadko bywałem przytomny, gdy pociąg zwalniał pędu i triumfalnie wjeżdżał do jednej z bliźniaczych, jak syjamskie siostry, przywartych do sie-

rzystej strony ulicy Batorego! Jakąś nieludzką śmiercią przyszło wam ginąć w haniebnych latach masakry Żydów polskich.

Lecz wrómy do naszych powrotów ze "świata" na Dworzec Główny, który ponoć już nie istnieje. Po przełomowym w moim życiu roku 1922 długa stosunkowo droga z dworca na Łyczaków była mi jak gdyby szlakiem pokuty. Wzdłuż tego szlaku gryzły mnie wyrzuty: jak można było

wyprowadzać się na stałe z tak pięknego i przychylnego miasta? Lecz gdy w końcu wjeżdżałem "jednokunką" w swoją ulicę Hofmana Opata — sumienie się uciszało. Czułem się jak pątnik, któremu za odbycia pielgrzymki odpuszczono wszystkie grzechy. Bo na ulicy Hofmana Opata witali mnie stróże zarówno tych kamienic, w których mieszkawałem (Hofmana 3, Hofmana 6, Hofmana 9, Hofmana 20, Hofmana 30 i naróżnego domu przy ulicy Bonifratrów 2), tu dzieł tych, gdzie moja stopa, jako żywo, nigdy nie powstała. Sienie wszystkich owych "realności" silnie czuć było naftą, którą wiatujący mnie stróże poleterowali na głanc drewniane klatki schodowe. Mimo to unosiła się w nich obficie woń kocurow. Niech mi będzie wolno w dalszym ciągu rozkładać się nad sobą. Otóż na ulicy Hofmana Opata i na jej przecznicach: Bonifratrów, Gołąba i Mikołaja Reja — witali mnie osiadli w tych stronach koncypienci adwokacy, mundanci i solycytatorzy, profesorowie gimnazjalni, radcowie Dyrekcyj Kolejowej, a także Prokuratorii Skarbu, witali emerytowani nadradcowie śp. c.k. Namiestnictwa, czynni radcowie Województwa, kanceliści Magistratu, kominiarze, handełesi i listonosze, wybitny pisarz ukraiński Mychajło Jackiw, szewc Szapowałek, szynkarz Engelkreis, nierządnicą Genia Smoczek, episjer, czyli po lwowsku: grajzlernik Schwarz, grajzlernik Pamucy Duma wraz z piękną żoną i takimiż córkami. Siwowsa episjerka "Justianka", matka śp. Kazimierza Justiana, utalentowanego artysty teatrów warszawskich, zadawała mi zawsze to samo pytanie: "Co tam w Warszawie mówią o moim Kaziu?" Przeżyła, biedactwo, swego ukochanego Kazia i rychno przestali mówić o nim w Warszawie

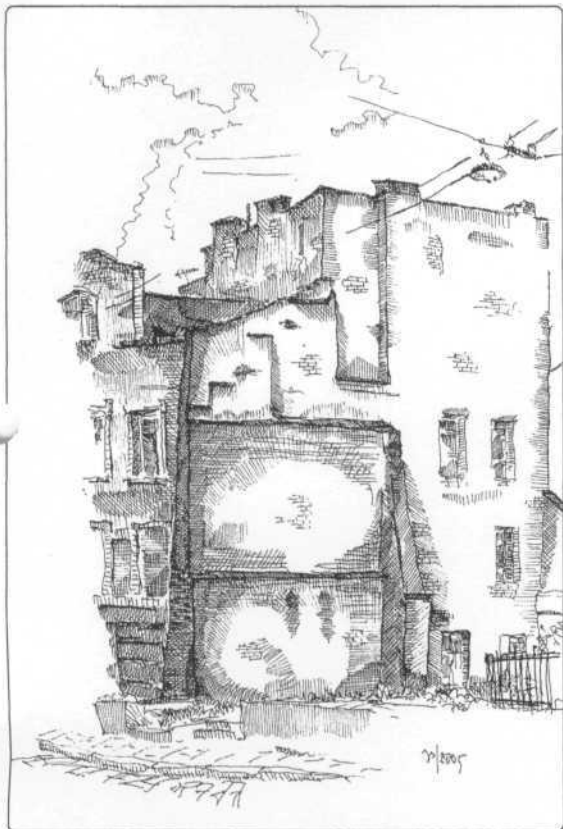
Tak, tak, witali mnie na Łyczakowie łyczakowscy ludzie, bo byłem łyczakowskie dziecko, aczkolwiek urodziłem się pod samą granicą Wołynia. Wszystkie te moje powroty na łyczakowski bruk miały coś z powrotu swą marnotrawnego. Ci ludzie zaś, zapewne, czuli do mnie żal o to, że mogąc sobie spokojnie belfrować w Lwowie, pachnącym jak jeden wielki "ogród zdrowia", wolałem iechać do jakiegoś podejrzanego teatru w Łodzi, o której wszystko można powiedzieć, tylko nie to, że pachniała. Może też mieli do mnie żal, że zamiast uszczęśliwić którąś z dorodnych, o i jeszcze jak dorodnych, łyczakowskich panien, wszedłem w związek małżeński z "królową wianka". Ale kto wie, czy "na dnie tych wylewnych powitań nie kiełkowało ziarenko nadziei, że w końcu się namyśliłem, poprawiłem, nawróciłem i już więcej ze Lwowa nie wyjadę. Do rozvodu jednak nikt mnie nie namawiał. Tak, byłem marnotrawnym synem Lwowa.

Do ordynku, niesforne wspominki! Nie rozpierzchać się, bo zawałam policajów w czarnym ceratowym czuku, z metalowym półksiężycem pod brodą i z zakrzywionym pałaszem. Gwizdnę i z otchłani czasu zleci się cała zgraja tych "dziadów", czyli "droniów". Najpierw komisarze ze złotymi szpadami, w czarnych "szlusarokach" ze złotymi guzikami i złotymi epoletami. Nie wszystko złoto, co się świeci, ale fakt faktem, że ci c.k. Polacy-szwarcgelberzy wyglądali bardzo sztywnie, niczym oficerowie marynarki wojennej. Wśród komarskiej elity Lwowa wyróżniał się nadkomisarz Tauer z czarnym podkręconym wąsikiem, specjalista od rozpędzania przedwyborczych demonstracji. Za nim



idą słynni ajenci, czyli rewizorzy, czyli zwyczajnie: szpicle. Ubrani są po cywilnemu, za to na głowach noszą sztywniaki, habigi, ba, nawet cylindry. Przewodzi im wielki Baziuk, "Baziuk sam", postrach bandytów i hołodrygów. Za nim, w pewnym oddaleniu, postępują: Przestrzelski, Jan-klewicz, Lieblch i Grinzberg, któremu w roku 1918 ukraiński granat urwał głowę razem z cylindrem. Inspektor Ginzberg, specjalista od przerażania i rewidowania żeńskiej służby domowej, podejrzewanej w każdym lepszym domu o kradzież srebra, batystowej bielizny, mydeł Ihnatowicza oraz innych krajowych wyrobów kosmetycznych, miał piękną córkę, O tych to herosach lwowskiej kryminalistyki składowali uliczni bardowie długie i rzewne ballady, śpiewane nie tylko po celach furdygarni, czyli aresztów policyjnych przy ulicy Jachowicza, nie tylko w więzieniu karnym, czyli Brygidkach, i nie tylko w ciupie "na Batorego". Jak długa i szeroka ziemia czerwieńska i gdziekolwiek na tej ziemi stały mamry lub przyzwoita morderzyna, wszędzie niosła się gędzba o wasalu Baziuku, poskromicielu dzielnego "dezentera" Józka Marynowskiego, lub o walce polikierzy z bandytą Białoniem. Dziwna rzecz, ile miejsca w folklorze tego miasta zajmuje policja, sąd i kryminał. Bo też nigdzie chyba morderstwa, kasiarstwa, a nawet drobniejsze, bardziej kieszonkowe delikty nie były owiane takim romantycznym czarem, jak w tej śpiewającej stolicy batiarów i nadradców, co żyli, choć nie najlepiej, z wśladania batiarów do kozy. Istota lwowianizmu, którą usiłuję tu z grubsza naszkicować, to przedziwna mieszanina wzniosłości i łobuzerii, mądrości i kretyzmu, poezji i popolitości. Ciępką jest smak lwowszczyzny i przypomina smak tego niezwykłego owocu, co dojrzewa jakoby jedynie na przedmieściu Kleparów i zowie się: czerecha. Ni to wiśnia, ni czereśnia. Czerecha. Nostalgia lubi fałszować także i smak, karząc nam dziś odczuwać samą tylko słodycz Lwowa. Znam jednak ludzi, którym Lwów był czarą goryczy.

(ciąg dalszy na str. 20, 21)



bie hal wjazdowych — do jednej z tych półkolejście i bardzo harmonijnie sklepionych, szklanych hal Dworca Głównego. Na wiele już stacji zajeżdżałem w tej męczącej podróży, zwanej życiem, lecz żadna, z wyjątkiem może Gare du Nord w Paryżu, nie budziła we mnie takiego podniecenia, takich "metafizycznych dreszczów", jak by powiedział śp. Stanisław Ignacy Witkiewicz. Dworzec Główny był chlubą każdego lwowianina. Doskonale pamiętam, jak się budował na początku naszego kochanego dwudziestego stulecia. Pędrakiem chodziłem w towarzystwie tzw. bony doglądać robót przy wnoszeniu tego cudu techniki i architektury, który miał zaćmić samą nawet Panoramę Raclawicką. I zaćmił. Bo w całej ówczesnej Galicji i Lodomerii z Wielkim itd. nie było równie bogato i rzęście oświetlonego gmachu. W późniejszych latach Dworzec Główny służył mi nie raz za refugium przed matematyką i fizyką. Jesteśmy snadź *refugee* przez całe życie: od kołyski do grobu zawsze przed czymś uciekamy. Podówczas wiałem tylko "poza szkołę", lub wyrażając się bardziej po lwowsku: chodziłem *hinter*. Tramwajem ŁD jeździłem z Łyczakowa na Gródek i, zamiast brać dwie w którejś tam klasie c.k. VII gimnazjum przy ulicy Sokoła, spędzałem bardzo mile poranne godziny w wytwornej poczekalni II klasy kolejowej. Nie była to poczekalnia, lecz istny salon, pełen kandelabrow, luster, złotych oraz miękkich, pachnącą skórą obitych kanap i kozetek. Pachniała ponadto dalekością świata, czarem obcyżny. Czekają się tu nie tylko na odejście pociągu, lecz jak gdyby na samo szczęście, do którego kasy dworcowe biletów w owym czasie nie sprzedawały. Poczekalnia pierwszej klasy w ogóle nie była dostępna śmiertelnikom poniżej ekscelencji lub Baczewskiego. A zatem w poczekalni II klasy pod opiekunicy, naturalnej wielkości portretem arcyksięcia Karola Ludwika w paradnym mundurze oficera ułanów i z blond brodą czytałem sobie tzw. szerloki, czyli zeszytowe edycje arcydzieł piśmiennictwa detektywego. Nabywałem się tę, jak mawiali rodzice i wychowawcy, "niezdrową lekturę" bądź w koleżeńskim handlu wymiennym, bądź u samych kastalskich źródeł wszelakich we Lwowie lektur, czyli w antykwariach ojca Bodeka, syna Bodeka, ojca Menkesa, syna Menkesa tudzież ojca, syna i wnuka Iglów. Ach, wy ojcowie, synowie i wnuki lwowskich antykwarzy, godnie rozsiadłych dynastiami wzdłuż całej pa-

